

A jednak się kręci!

19 maja 2008

„Prywatne jest najlepsze”, „wspólne nie działa dobrze”. Doprawdy?

Powyższe slogany słyszymy nieustannie z radia i telewizji, czytamy je w gazetach, książkach i na monitorze komputera. Rynek, prywatna własność, konkurencja – o tak, to podobno zawsze działa świetnie. Reszta wręcz przeciwnie – nie działa wcale. „Żadnych eksperymentów” – wrzeszczą liberalni fanatycy. Wrzeszczą dlatego, aby zagłuszyć fakty, które podważają ich wywody. Aż tu nagle, w samej „Gazecie Wyborczej”, która zapewne po śmierci Balcerowicza zażąda jego beatyfikacji, znalazłem niepozorną notkę. W proch i pył rozbija liberalne wywody.

Notka ukazała się 9 kwietnia w dziale gospodarczym, pod tytułem „Miasta sprzedają tańsze paliwa”. Zacytujmy w całości, bo warto:

„W Polsce powstają kolejne stacje benzynowe prowadzone przez spółki komunalne. Przez obniżenie marży na sprzedaży paliw udaje im się zmusić konkurencję do obniżek cen.

Gminne stacje paliw działają już w Rzeszowie, Płocku czy Białymstoku, o podobne właśnie walczą kierowcy z Gorzowa, Opola i Kielc. Zasada działania jest prosta, na miejskiej działce stację buduje spółka komunalna i sprzedaje benzynę z małą marżą, co kompensuje sobie wielkością obrotów. Reakcją na takie rozwiązanie jest często obniżenie cen paliw u konkurencji nawet w całym mieście.

Dwa lata temu w Rzeszowie prezydent miasta Tadeusz Ferenc zabiegał, by ceny za litr benzyny spadły poniżej 4 zł. Obliczono, że tamtejsze Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne stać na obniżenie marży na własnej stacji. Kiedy marża spadła, w ciągu tygodnia obroty stacji się potroiły, a

konkurenci zareagowali natychmiast. Teraz paliwo PB 95 można tam kupić nawet za 3,98 zł na kilku małych stacjach i przy hipermarketach, a wielkie koncerny paliwowe obniżyły ceny do 4,14 zł. Miasto planuje budowę kolejnej własnej stacji.

Do podobnej decyzji inne samorządy nakłania też Białystok. – W listopadzie uruchomiliśmy swoją stację i na razie udało nam się ukształtować ceny w najbliższej okolicy. W tym roku będziemy mieli ponadmilionowy zysk. Za te pieniądze kupimy nowe autobusy i zbudujemy dwie kolejne stacje – mówi Dariusz Ciszewski, prezes Komunalnego Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej w Białymstoku.

Mechanizm nie do końca sprawdził się za to w Płocku, gdzie mieści się paliwowy koncern PKN Orlen. Choć miejska stacja pęka w szwach, obniżki cen w całym mieście są minimalne.”

Koniec cytatu. Dodajmy, że komunalna stacja w Płocku, choć nie doprowadziła do obniżenia cen w mieście, jest dochodowa (czyli miasto zarabia), a jej klienci – mieszkańcy miasta – płacą mniej za benzynę, czyli oszczędzają.

Co z tego wynika? Przede wszystkim to, że owe stacje podważają rzekomo żelazną regułę, iż własność publiczna jest zawsze gorsza niż prywatna i że musi być nieskuteczna, marnotrawna itd. Oczywiście nietrudno zrozumieć, że w Polsce, po niemal półwiekowej przygodzie z fatalnie działającymi upaństwowionymi punktami handlowymi czy usługowymi, wciąż żywe są obawy przed skutkami eksperymentów. Nietrudno również zrozumieć neoficki zapal w wychwalaniu wolnego rynku i własności prywatnej. Gdybyśmy mieli to od dawna, mniej byłoby zachwytów, więcej natomiast krytycyzmu. Ale niewiedza czy zapalczywość zwolenników rynku nie mają mocy sprawczej w kwestii zmiany rzeczywistości – od ich głędzenia komunalne stacje benzynowe nie przestaną generować zysków, oferować tańszego paliwa i nierzadko zmuszać konkurencję do obniżki cen.

Co ciekawe, tego typu eksperymenty gospodarcze trudno

skrytykować z pozycji rozsądnego zwolennika wolnego rynku. Jednym z argumentów najczęściej używanych przez liberałów jest bowiem stwierdzenie, że konkurencja prywatnych podmiotów, nastawionych na zysk, gwarantuje konsumentowi optymalne zaspokojenie potrzeb. W tym przypadku tak właśnie jest mimo nie-prywatnej działalności! Klient otrzymuje niższą cenę za taki sam produkt, nie ponosząc żadnych dodatkowych kosztów, skoro stacje benzynowe są rentowne i nie trzeba do nich dopłacać z miejskiego budżetu.

Łatwo zgadnąć, jaki będzie zarzut wobec takiej formy własności i jej usług. Otóż dowiemy się, że zadaniem władz miejskich nie jest mnożenie sfer działalności i wkraczanie tam, gdzie z powodzeniem poradzi sobie sektor prywatny. Ilu dodatkowych urzędników należałoby zatrudnić, żeby nadzorowali zaangażowanie miasta czy gminy np. w pieczenie chleba, sprzedaż piwa, wyświetlanie filmów i dostarczanie wielu innych produktów? Oczami wyobraźni widzimy zapewne setki biurokratów maszerujących zwartym szeregiem do wciąż rozbudowywanych – trzeba ich pomieścić! – budynków urzędowych.

No dobrze, ale właściwie w czym problem? Po pierwsze, zadaniem władz lokalnych jest tworzenie lepszych warunków życia mieszkańców. Jeśli gminna stacja benzynowa czy piekarnia są w stanie dostarczyć tańsze produkty, to mieszkańcy ewidentnie na tym korzystają. Po drugie – skoro te formy działalności generują zysk, to wypracowują środki zarówno na rozmaite wydatki budżetowe, jak i na pensje dla dodatkowych pracowników, którzy muszą „ogarnąć” całość spraw związanych z takimi inicjatywami. Po trzecie – jeśli, jak w przypadku benzyny, skutkują obniżeniem cen, to obalają tezę, że tylko konkurencja prywatnych podmiotów na wolnym rynku pozwala osiągnąć możliwie najlepszy efekt z punktu widzenia konsumentów. Wygląda wręcz na to, że dopiero ingerencja w ów rynek ze strony podmiotu nie-prywatnego przywróciła faktyczną konkurencję.

Pójdźmy krok dalej. Bez trudu można znaleźć wiele sfer

działalności, które dotyczą spraw ważniejszych niż płyn napędzający samochody. Z droższą benzyną da się żyć, natomiast znacznie trudniej funkcjonować w realiach np. drogiej żywności czy lekarstw. Dlaczego nie miałyby istnieć komunalny sklep spożywczy, który zamiast wikłać się w układy z hurtowniami, skupowałby płody rolne bezpośrednio od okolicznych rolników, a bardziej zaawansowane produkty – od ich nieodległych wytwórców? Pominięcie kosztów marży hurtowej i dążeń do maksymalizacji zysku pozwoliłoby obniżyć ceny i sprawić, by mieszkańcy wydawali mniej na żywność. Komunalna apteka mogłaby natomiast oferować leki z mniejszą marżą, a w dodatku tylko tańsze produkty zamiast ich odpowiedników, które kosztują dwa razy drożej wyłącznie dlatego, że mają inną nazwę (najlepiej z końcówką „-ex”) i bardziej kolorowe opakowanie oraz słodsza powłoczkę tabletki.

Nie uważam, by wolny rynek czy własność prywatna były złe zawsze i wszędzie. Wręcz przeciwnie – sędzę, że słabość wielu „etatystycznych” koncepcji gospodarczych, a zwłaszcza ich praktycznych form, wynika z fanatyzmu ich twórców, będącego lustrzanym odbiciem tego, który cechuje postawę (neo)liberałów. Rozumiała to zresztą ta część krytyków kapitalizmu, która nie skompromitowała się wcieleniem w życie systemu będącego przeciwieństwem swoich teoretycznych założeń i obietnic. Czy przedwojenna Polska Partia Socjalistyczna opowiadała się za upaństwowieniem ogółu przedsiębiorstw? A skąd – optowała za gospodarką trójsektorową, czyli współistnieniem własności prywatnej, spółdzielczej i państwowej, a właściwie to za czterosektorową, bo podmioty komunalne też były w tych kręgach nierzadko przywoływane jako osobny, niezależny element układanki. Podobnie było z wszystkimi udanymi realizacjami koncepcji socjaldemokratycznych w krajach Zachodu – tam obecność różnych form własności zaowocowała nie tylko niespotykanym w dziejach poziomem, powszechnością i tempem rozwoju społecznego (tzw. złota trzydziestka, czyli 30 powojennych lat), ale również rozszerzeniem swobód jednostek oraz ugruntowaniem demokracji,

czyli czymś dokładnie odwrotnym niż komunistyczne dziadostwo i zamordyzm.

To zresztą „realny socjalizm” pospołu z ideologiczną ofensywą neoliberalizmu sprawił, że wszelkie dyskusje o alternatywach gospodarczych traktowane są podejrzliwie, a wyznawcy wolnego rynku mogą do woli wykrzykiwać: „Żadnych eksperymentów”. W Polsce widać to doskonale. Nasz kraj przed wybuchem II wojny światowej daleki był od ideału. Nawet biorąc poprawkę na zaledwie 20-letni staż odrodzonego państwa, można mówić o wielu błędach, zmarnowanych szansach i niepodjętych inicjatywach. Ale okres międzywojnia jest jednocześnie najlepszym przykładem bzdurności hasła „żadnych eksperymentów”. Polska była bowiem wtedy – patrząc z obecnej perspektywy – jednym wielkim eksperymentem! Kilka milionów osób zrzeszały samopomocowe kasy oszczędnościowo-kredytowe. Wiele tysięcy ludzi pracowało w licznych spółdzielniach, jeszcze więcej – korzystało z ich usług. W sporej ilości miast istniały banki komunalne, które dzięki finansowemu zaangażowaniu władz lokalnych oferowały – tak jak dzisiaj czynią to wspomniane stacje benzynowe – usługi dla sporych grup klientów na zasadach korzystniejszych niż prywatne podmioty komercyjne. Spółdzielczy Instytut Naukowy był powszechnie szanowaną instytucją naukowo-badawczą, a katedry spółdzielczości istniały na kilku państwowych uniwersytetach. Znanych działaczy spółdzielczości, np. Franciszka Stefczyka, powoływano na znaczące państwowe stanowiska w sferze gospodarczej, a wieloletnia działalność w „eksperymentach” spółdzielczych nie przeszkadzała piastować najwyższych godności, jak było w przypadku prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Spółdzielcze „eksperymenty” nie były żadnym dziwactwem, lecz dokonywały się w blasku fleszy i pochwał, jak choćby budowa obiektów Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Tego wszystkiego nie zniszczył kapitalizm. Zniszczyła to komuna, która nie tylko rozbiła materialną bazę alternatywnych form własności i nowatorskich sposobów zaspokajania ludzkich

potrzeb. Zdeństowała ona także ideologiczną nadbudowę takich działań. To, co wspólne, okazało się niczyje, można było je do woli niszczyć, eksploatować czy lekceważyć. Efekt jest taki, że znacznie więcej pochwał pod adresem własności prywatnej i komercyjnego wolnego rynku słychać w Polsce niż w dowolnym kraju, gdzie owe mechanizmy i idee są znacznie bardziej ugruntowane. A ile osób wie, że przyjaźniejszy klimat dla spółdzielczości jest w liberalnych Stanach Zjednoczonych niż w Polsce, gdzie ponoć pełno mamy homo sovieticus, którzy niechęć wobec kapitalizmu wyssali z mlekiem matki.

Oczywiście swoje zrobiła też postawa polskiej, pozał się Boże, lewicy. Gdy już łaskawie porzuci ona tematykę aborcyjno-gejowsko-feministyczno-antyklerykalną, względnie – dostrzeże, że od czasu XIX-wiecznej mobilizacji proletariatu co nieco się na świecie zmieniło, sięga po tematykę ekonomiczną. Niestety, jest z tym więcej kłopotów niż pożytku. Kilku podstarzałych fanatyków i zapatrzonych w nich studentów chciałoby upaństwowić i kontrolować wszystko, mniej więcej w stylu Lenina z okresu przed wprowadzeniem NEP-u. Inni z kolei uważają, że niezależnie od realiów kulturowych, powinniśmy naśladować pomysły meksykańskich Zapatystów albo którejś z innych aktualnie modnych inicjatyw – im bardziej egzotycznych, tym lepiej. Obrazu dopełniają mózgowcy z „Krytyki Politycznej”, która wzbogaciła merytoryczny poziom polskiej lewicy tak bardzo, że przez ponad 5 lat działania zdołała w kwestiach gospodarczych sformułować „program” brzmiący mniej więcej tak: „ma być jak w Szwecji lub w Finlandii”. Zapewne ta Szwecja i Finlandia spadną Polakom z nieba jako prezent od Ducha Dziejów.

Efekt jest taki, że środowiska, od których należałoby oczekiwać inspiracji w dziedzinie alternatyw gospodarczych, nie mają zielonego pojęcia ani o polskich tradycjach takich inicjatyw, ani o istniejących udanych – co nie znaczy doskonałych – przykładach tego, że oprócz prywatnej własności i kapitalistycznej konkurencji można działać inaczej. Czytam

od lat chyba wszystkie polskie periodyki mniej lub bardziej lewicowe i na palcach mógłbym policzyć pochodzące z nich informacje o sprawnych polskich spółkach pracowniczych, spółdzielniach, grupach producenckich, barterze bezgotówkowym itp. A gdy opublikują jakąś teoretyczną rozprawę na ten temat, to koniecznie musi być to coś napisanego na drugim końcu świata, a w swej naiwności i utopijności bijącego na głowę nawet najsłabsze spośród rozpraw klasyków polskiej myśli kooperatywnej: Mielczarskiego, Chmielewskiego, Wojciechowskiego, Thugutta czy Rapackiego. Wszyscy oni są przekonani, że „inny świat jest możliwy” – ale gdy zapytamy ich, jak miałby wyglądać ten inny, niekapitalistyczny porządek, otrzymamy zestaw sloganów na poziomie licealisty.

Komunalne stacje benzynowe pokazują nie tylko to, że nie-prywatne może być skuteczne i sprawne. Uświadamiają one, że możliwe, a nawet potrzebne są rozmaite eksperymenty, które ochronią społeczeństwo przed wadami rynku oraz usprawnią proces optymalnego zaspokajania ludzkich potrzeb. Jak widać na tym konkretnym przykładzie, już sprawdzonym w praktyce, podmioty publiczne, w dodatku nie nastawione na maksymalny zysk, mogą pełnić pozytywną rolę. Między zamordystycznym, niewydolnym komunizmem a wadliwym wolnym rynkiem istnieje miejsce na rozmaite szczeble pośrednie.

„Żadnych eksperymentów”? Naprawdę tak sądzicie, drodzy liberałowie? No to płaćcie więcej za benzynę na prywatnych stacjach – macie przecież wolny wybór.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)